

Jan Sikorski

część IV z VI

Sygnatura notacji: **N0061**

Data urodzenia: **12.11.1935 r.**

Data nagrania: **28.08.2007 r.**

Miejsce nagrania: **Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Bogdan Krawczyk**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 62 min, część III: 55 min,
część IV: 56 min, część V: 60 min, część VI: 22 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ksiądz Jan Sikorski: Czekałiśmy wszyscy na wybór Ojca Świętego. Wiadomo było, że... To nie nagrywa się specjalnie... Że to jest coś niezwykle istotnego rzeczywiście dla każdego z nas. Pamiętam, miałem zajęcia ze studentami swoimi. Wypytywali mnie, co ja sądzę, kto będzie papieżem, a mnie coś podkusiło wtedy, bo takie chodziły legendy, że ksiądz kardynał Wojtyła, dowiadując się o śmierci Jana Pawła, że się bardzo zmienił na twarzy, że to... – Jana Pawła I. – Jana Pawła I, tak. Od siostr to wyszło Urszulanek, że kiedy się tam dowiedział, to bardzo się zmienił na twarzy, potem no przepowiednie nasze, że tam trzy... O trzech koronach, które pomazańcowi z Krakowa zostaną przyznane, potem, że Wadowice mają słońce w herbie, a ten przydomek nowego papieża to był De labore solis, „Z pracy słońca” itd., itd. I to mi się tak jakoś w głowie wszystko razem połączyło. I kiedy mnie studenci zapytali, to ja ze spokojną twarzą powiedziałem: „No według mnie to będzie kard. Wojtyła papieżem, tylko nie wiem, jakie imię przybierze – czy Jan, czy Paweł”.

Bogdan Krawczyk: No bo byli wielcy papieże poprzednicy, prawda?

Ksiądz Jan Sikorski: O Janie Pawle II w ogóle nie brałem tego pod uwagę. Tak że mówię: „Na pewno będzie właśnie, bo tak wszystkie dane na to wskazują”. Oczywiście mówiłem, sam w to nie wierząc, ale wobec studentów tak sobie troszkę jak gdyby zalefowałem. – Widać, że są prorocy. – Właśnie. I teraz przychodzi sytuacja wyboru Ojca Świętego. Jedna z moich studentek dostaje telefon nagły z Paryża od siostry, bo akurat siostra przebywała w Paryżu, mówi: „Słuchaj, czy ty wiesz, że wybrany został kard. Wojtyła, Jan Paweł II?” A ta flegmatyczka mówi: „Tak, wiem, bo nam to ks. Sikorski już tydzień temu powiedział”. I tak niechcący zostałem prorokiem. To były takie jakieś ciche

marzenia, i trochę się o tym mówiło, ale oczywiście nikt nie chciał w to wierzyć, do tego stopnia, że w chwili wyboru ja byłem przy ołtarzu, odprowadzam nabożeństwo różańcowe i ksiądz przychodzi do mnie i mówi: „Słuchaj, już jest wybór papieża” – w czasie nabożeństwa. Ja mówię: „No kto?” Mówi: „Kard. Wojtyła”. Mówię: „To leć szybko do radia i sprawdź, bo ja ludziom tego nie ogłoszę”, ponieważ przy wyborze Jana Pawła I były problemy z dymem, i ja w entuzjazmie powiedziałem ludziom na ambonie, że już papież jest wybrany, jeszcze tylko nie wiemy kto. Okazało się, że to było przedwcześnie. I bałem się tej wpadki, tym bardziej jeszcze, że to miał być kard. Wojtyła. Rzeczywiście on poszedł jeszcze raz, jakieś tam kilka radiostacji sprawdził, mówi: „Tak, to jest on”. No i wtedy miałem tę przyjemność ludziom ogłosić. No biliśmy wtedy w dzwony, to kościół Św. Michała na Mokotowie, u Św. Michała. Natychmiast kościół się wypełnił ludźmi. Natychmiast. No i potem odprowadziliśmy tam u nas Mszę św. dziękczynną, modlitwy, no, i cały ten walec, prawda, entuzjazmu został rozkręcony. Rano gazety, jak pamiętam dokładnie nawet nazwisko tego, że tak powiem, typa, który napisał, chyba w „Trybunie Ludu”, że taka maleńka notatka była, że został wybrany Polak, Jan Paweł II, że z wielką uwagą przypatrujemy się jego imieniu, ponieważ przybrał imię dwóch papieży walczących o pokój i podpisany był Janiurek niejaki. Do dziś to nazwisko pamiętam. Jak go kiedyś spotkam, to ja nie wiem, co ja z tym człowiekiem zrobię. Cały świat się trzęsie, wszystkie, prawda, media itd., radio bez przerwy: Jan Pawła, Wojtyła, Wojtyła, we wszystkich językach, a tu „Trybuna Ludu”, prawda, coś takiego pisze. No, to było rzeczywiście żałosne wtedy, żałosne, ale jednocześnie oznaczało właściwie już taki schyłek, zdecydowany schyłek tego wszystkiego, całego establishmentu, który w Polsce był. To już takie... – Już nie mieli czym handlować, proszę księdza. – I powstał wtedy też taki właśnie dowcip, który też się okazał bardzo prawdziwy. Podziwiałem właśnie tę intuicję ludzką, że tam Gierek telefonuje „Habemus Papam”. A Breżniew mu odpowiada: „Habemus kłapam”. Więc ludzie wyczuli wtedy, i to ciekawe było, że to było takie proroctwo, któremu się właśnie nie dowierzało, a jednak jakoś ten dowcip świadczył, że w świadomości ludzkiej już to było. Zresztą, no, czuło się rzeczywiście, że ten system jakoś upada. Też takie proroctwo to pamiętam przed kościołem w parafii Św. Michała, kiedy była ta zima stulecia i spadł straszliwy śnieg. I myśmy księża tam polecieli odgarnąć trochę śniegu, bo nie miał kto, żeby ludzie po prostu mogli wejść do kościoła. Tak ten śnieg odgarniamy, to wszystko stoi w ogóle tramwaju, nie nic, samochody to... I jakiś pan przychodzi i mówi: „Ta zima położy kres na komunie”. Z taką dumą powiedział. Więc ciekawa jest ta ludzka intuicja, która, wbrew nawet takim pewnym oczywistościom, no, bo oczywistości prasowe były i doniesienia były zupełnie inne, cały światowy układ, prawda. A ludzie wiedzieli, że ten śnieżek jednej położy, no ale to nieistotne. Czuli, że wybór Ojca Świętego jednak przyniesie za sobą, gdzieś czuli, może mniej rozumieli, a bardziej czuli. – To też był znak – władza, która sobie ze śniegiem nie radzi. – To wiadomo, że sobie z niczym nie może poradzić. Tak, tak, to już były takie znaki agonii. Znaki agonii, która zresztą nikogo specjalnie nie przerażała. –

Bogdan Krawczyk: Czy ktoś inny, czy poza Wojtyłą był jeszcze brany pod uwagę, jeśli chodzi o wybór papieża? Przez długie lata mówiło się, że Wyszyński, jeśli z Polski, to w zasadzie tylko Wyszyński. Kiedy urosła sylwetka kard. Wojtyły?

Ksiądz Jan Sikorski: Jak byśmy spojrzeli teraz tak trochę beznamyślnie. – Patrząc beznamyślnie, to w Polsce ks. kard. Wojtyła był właściwie zawsze w cieniu. – Tak. – Wiem, że sam... – Lekko z Wyszyńskim nie miał, bo jeździł z Krakowa do Lublina na wykłady dla niewielu studentów. – Tak. Ja kiedyś na uroczystość jakąś pojechałem, koronację obrazu chyba do Głogowca, i było właśnie, że myślałem, że to będzie kard. Wyszyński wtedy. Okazało się, że kard. Wojtyła.

Mówię: „O, jaka szkoda, że tylko Wojtyła”. Więc to pamiętam, że, że... Widziałem się tam kiedyś raz czy drugi z kard. Wojtyłą, tak na jakimś spotkaniu, zebraniu czy coś takiego. Robił zawsze dobre wrażenie, dobrze się o nim mówiło, ale nigdy nie z takim wielkim jakimś entuzjazmem. No przygaszał go zdecydowanie, przygaszała go postać kard. Wyszyńskiego, i jak potem się okazało, on chyba sam specjalnie jakoś nie chciał stanowić żadnej przeciwwagi, co by było bardzo na rękę komunistom. – Przez lata też był, że tak powiem, taki dziwny ksiądz, mogę powiedzieć, bo to był ten Lolek, taki trochę brat Łata. – Trochę brat Łata, tak.

Bogdan Krawczyk: Coś na ten temat wiem, bo też ze studentami jeździł na różne obozy, nie?

Ksiądz Jan Sikorski: Nawet powiedziałbym, że tak trochę analogicznie, bo i te trasy mazurskie, które odbywał kard. Wojtyła, to jakoś tak, nie wiem, intuicji. No taka, że tak powiem, możliwość się wtedy otworzyła, i on to wykorzystał, i ja tam te kilka lat później, powiedzmy, też w podobny sposób to robiłem z młodzieżą, czy te spotkania jakieś ze studentami. To jest bycie blisko z tymi swoimi wychowankami, które było, jak się później okazało ks. kard. Wojtyły, to oczywiście było też tutaj wśród... zresztą nie tylko u mnie, to wielu księży właśnie miało, tworzyło ten pewien styl takiego duszpasterstwa również wakacyjnego, prawda, i takiego bliskiego kontaktu z tą młodzieżą.

Bogdan Krawczyk: Bardziej duszpasterstwa partnerskiego jednak chyba, nie?

Ksiądz Jan Sikorski: Bo tu nie chodzi o pole wakacji, ale to jest ten brak taki... Stawiania się ponad swą trzódkę. – Tak, to było takie braterskie duszpasterstwo, bo właściwie myśmy się czuli tak ze sobą, jak właściwie w rodzinie. Oni taką ksywkę mieli dla mnie, bo nie można było mówić ksiądz, więc mnie tam jakoś przezwali z jakiejś tam okazji – Senior, choć byłem wtedy jeszcze dość młody, ale nazwali mnie Senior i tak do dziś niektórzy z tych moich dawnych znajomych tak na mnie mówią. Żeby to tam... Co ksiądz kardynał miał Wujek, no, ale tam już ten Wujek był taki trochę później już ogadany. Jak idzie młodzież z wujkiem, to wiadomo, że idzie z księdzem. No więc ja miałam taką właśnie ksywkę. – Patrząc historycznie, to zasada senioratu się sprawdzała na przestrzeni wieków. – Potem tak jakoś to zostało. Teraz już jestem rzeczywiście pleno titulo senior pod każdym względem. Tak że był to już taki styl. Właściwie on był jak gdyby no takim prekursorem tego stylu. Te wspólne narty przecież, na które, powiedzmy, jako księża też wyjeżdżali ze swymi studentami, uczniami. –

Bogdan Krawczyk: Było jakieś szczególne spotkanie między Wami?

Ksiądz Jan Sikorski: Z kard. Wojtyłą. – Tylko kiedyś mój siostrzeniec, ale akurat nie ja, bo ja akurat wtedy nie jechałem, wrócił do mnie i chwalił się, że właśnie jechał w Zakopanem na Kasprowy, udało mu się jechać właśnie w towarzystwie kard. Wojtyły. Tak to wspominam sobie. Także takich wakacyjnych tych nie, oczywiście tego spotkania nie było. Pamiętam taki w Krakowie był jakiś zjazd, na którym byłem, i właśnie wtedy przyszedł kard. Wojtyła. Pozdrowić nas przyszedł tylko. No i zaimponowało mi to, że przyszedł i pozdrowił i wyszedł, że nie mówił takich rzeczy ogólnych, które by tam do niczego nie pasowały. Powiedział parę zdań bardzo takich rzeczywiście mocnych, ale krótko bardzo. I to tak jakoś wzbudziło moje zainteresowanie, moją sympatię. Znowu któryś z moich kolegów brał udział w takiej, jako taki ekspert, w sesji Episkopatu. I mówił, że słuchali go tam kilku biskupów i kardynałowie, m.in.

kard. Wojtyła. Coś mówił ważnego i chyba mądrego, ale cały czas kard. Wojtyła coś tam pisał, pisał, pisał. I kiedy on skończył, zdawało mu się, że on w ogóle nic nie wiedział, że nie uważał na to, co on mówi. Jakaś rozpoczęła się dyskusja, którą mówił ten mój kolega, że był zdumiony, że to, na czym mu najbardziej zależało, to właśnie to zdanie kard. Wojtyła wypowiedział. No, ale to były takie tylko drobne sygnały.

Bogdan Krawczyk: Zbilansujmy lata osiemdziesiąte, bo niechybnie przejdziemy do stanu wojennego. Co mamy w kraju?

Ksiądz Jan Sikorski: Mamy 1981 – umiera, posągowy Ksiądz Prymas. Specjalnych rankingów w kraju nie ma, nikt nie wie, kto będzie następcą. – Nikt nie wie, zupełnie, zupełnie... Różne nazwiska się wymieniało. Ale właściwie jakiegoś takiego zdecydowanego faworyta to zupełnie nie było, zupełnie nie było. Pamiętam tylko, że właśnie jakoś miałem cichą nadzieję, że może będzie to ks. Tischner. Tym bardziej, że właśnie jakoś w seminarium się z nim spotkałem. Zresztą znałem się trochę z nim. Ale no to tak, tylko taka jedna była, jedno z przypuszczeń. – Poproszę w takim razie proboszcza z parafii Św. Józefa coś o Józefie, filozofie góralskim – jakieś wspomnienie. Znaliście się trochę. – Trochę się znaliśmy. Poznałem go jako kleryka jeszcze, ponieważ jeździłem na wakacje niedaleko Łopusznej na takich Szlembark. To było tam na Podhalu, Dębno Podhalańskie, Szlembark i tam... Bliskim kolegą Tischnera był taki kleryk o nazwisku Zązek, który zresztą jest znanym w tej chwili bardzo księdzem kapłanem Podhalan. Ale wtedy to był jeszcze taki chłopak, ministrant. I wiem, że myśmy tam nad Dunajcem raz się opalali, ale nieraz musieliśmy przechodzić przez Dunajec z kościoła na Szlembark, który był ponad Dunajcem, tak trochę wysoko położony. I mieliśmy te sutanny. I kiedyś nad tym Dunajcem te sutanny leżały na trawie, a myśmy tam sobie pluskali się w tym Dunajcu. No i ten Władek właśnie... „A przymierz, Władek, sutannę, zobacz, jak będziesz wyglądał”. Przymierzył. No, mówię, „Ale piękny będzie z ciebie ksiądz”. I on tak paradował w tej sutannie, proszę sobie wyobrazić, zaraz potem poszedł do seminarium. I był to bardzo bliski kolega właśnie Tischnera. I jeszcze jednego księdza Zonia, który potem do benedyktynów wstąpił. – Ktoś złośliwie mógłby powiedzieć: kto z kim przestaje... – Tak. I stąd właśnie padło nazwisko Tischner i raz po raz w opowiadaniach między tymi dwoma klerykami padało właśnie Tischner. Wiedziałem, że to musi być ktoś znaczący dla nich, bo chociaż to był starszy ich kolega, ale ciągle wracało to wspomnienie, że z Tischnerem, że oni wędrują. Byłem właśnie ciekawy, kto to jest ten Tischner. –

Bogdan Krawczyk: Jakie pierwsze wrażenie było?

Ksiądz Jan Sikorski: I potem... Sam go zaprosiłem tutaj kiedyś na spotkanie z byłymi internowanymi i miałem okazję tak bliżej troszeczkę go poznać. I byłem właśnie zdumiony, z takim wykładem przyjechał tutaj, byłem zdumiony tym jego sposobem bycia, jednocześnie sposobem prowadzenia tego wykładu. On mówił tak jakby ta filozofia to była taka zabawa, którą on tak sobie dotyka. Z humorem, z dowcipem. Tak że nawet niektórzy się dziwili, mówili, że on tak to prowadzi jakoś mało poważnie. No ja stwierdziłem, że to nie było niepoważne, że to był po prostu człowiek, który tak dobrze zna swój warsztat, że potrafi się nawet nim bawić i potrafi go przekazywać w sposób taki bardzo jakoś bliski, zwyczajny. Bardzo mi się to wtedy właśnie podobało to jego prowadzenie tego wykładu. I tam przy różnych innych okazjach spotykaliśmy się. Właśnie pamiętam w seminarium, kiedy go witałem i był gościem naszego seminarium po śmierci Księdza Prymasa, no i też właśnie tam rozmawialiśmy o tym, że może on tak będzie kandydatem.

Już nie pamiętam, czy on to powiedział, czy skądinąd słyszałem ten dowcip, że owszem, jest kandydatem zaraz po pani Bortnowskiej. Taki to był jego dowcip. Też słyszałem o nim to, chociaż sam tego nigdy, nie brałem w tym udziału, że mówił kazania dla dzieci bardzo ciekawe, i dzieci to jakoś rozumiały, słuchały. I jeszcze jedno, że to, co u górali było, że tam nie rozchodzili się do domu, tylko se siadywali wokół kościoła. On, kiedy przychodził, z tymi góralami rozmawiał o najważniejszych, najtrudniejszych sprawach, z wielkim szacunkiem, i każdego tak wysłuchiwał z taką uwagą. I to bardzo mi się jakoś podobało, że nie jest to człowiek odseparowany poprzez naukę i swój wysoki poziom wiedzy od ludzi, tylko właśnie, że jest rzeczywiście bardzo bliski tego ludu, no, i ciągle tam w tej łopusznej dosyć często bywałem, więc jakoś tak gdzieś ta jego postać tam się przewijała. – W muzyce istnieje takie pojęcie, jak wirtuozeria. To był wirtuoz słowa. – Wirtuoz słowa, tak. – Trzeba przyznać, że nikt tak dobrze chyba jak on nie zdefiniował tego, co się wydarzyło z Solidarnością. Żaden badacz społeczny, tylko ksiądz filozof. – Ksiądz filozof, tak, tak. No Etos, ta książka „Etos Solidarności”, ja pamiętam, że już, jak usłyszałem tytuł, to pamiętam tę książkę nabyłem i z radością czytałem. Jakoś tak gdzieś mi to głęboko tkwiło ciągle w mojej świadomości, że Solidarność jest czymś naprawdę wyjątkowym w dziejach świata. Kiedy rozmawiałem z dziennikarzami, również zagranicznymi, często im to, że tak powiem, z przyjemnością tłukłem w głowę, że: „Panowie, wy sobie musicie zdawać sprawę, że rewolucja solidarnościowa to nie jest jeden z wielu ruchów, że to jest coś zupełnie innego. To jest ruch, i to jeszcze taki robotniczy, społeczny, nie skierowany przeciwko nikomu wprost”. I to było dla mnie bardzo piękne i takie bardzo chrześcijańskie, że Solidarność nic nie niszczyła, co robiła każda rewolucja. Robiła dużo bałaganu i potem skutek był niewielki. A tutaj coś zupełnie jakościowo nowego. Wiem, że niektórzy ci moi rozmówcy przyjmowali to nawet albo z niedowierzaniem, albo z takim zdziwieniem, bo oni przyjeżdżali tutaj do Polski szukać sensacji. Mówię: „Nie, to jest coś rzeczywiście bardzo, bardzo wielkiego, niezwykłego”. Dlatego ta książka Tischnera tak mnie ujęła, że on pokazuje jakieś głębokie korzenie tego, co się Solidarnością nazywa i co nie tylko byłoby ruchem, ale byłoby postawą, która mogłaby zmieniać świat. To, co potem przybrało słowo już w takim naukowych określeniach i duszpasterskich nawet – cywilizacją miłości. I to zostało. Nawet jeżeli nie w życiu, to przynajmniej zostało w jakimś stylu i sposobie rozważań również i religijnych i filozoficznych. Tak że kiedy nieraz się spotyka takich pesymistów, że: „A co z tego ruchu zostało, co z tego wyniknęło?” No, zostało, zostało jednak bardzo wiele. Jest jakiś punkt odniesienia. Nawet jeżeli nam się nie udało tego zrobić zbyt dobrze. Chociaż potem naprawdę pamiętam, któryś z takich słynnych dziennikarzy francuskich, Lecomte chyba nawet, który... jego książki zostały na polski też przetłumaczone, on gdzieś nawet wspomina w którejś z książek o tej rozmowie. Lecomte, Lecomte. Chyba gdzieś w którejś książce nawet wspomina, bo tam znalazłem, jakąś rozmowę ze mną nawet. I on potem przyjeżdża i mówi: „No i co się stało?” Po tym już naszym swojskim bałaganiku, który nastąpił. No, ja mówię: „No, wartości zostały, idea została, jest się do czego odwołać”. Tak jak 10 Przykazań, które Pan Bóg dał, no i co? No co z nich zostało? No, ludzkość się do nich odnosi, choć czasami z lubością nie przestrzega. – Tischner pisał o tej Solidarności sierpniowej, ale były różne jakby oblicza Solidarności.

Bogdan Krawczyk: Jak ksiądz zapamiętał jesień Solidarności – 1981?

Ksiądz Jan Sikorski: Już mamy... Jest papież, jest i ten nowy prymas. Jest bardzo trudno, bo jest taki kłincz. – Tak. – To uderzenie ze strony władzy gdzieś tam wisi w powietrzu. – Kiedy w ogóle padło słowo Solidarność, to ja tak się modliłem: „Panie Boże, żeby nie było Grunwaldu...” I zawsze to słowo Grunwald, czyli niewykorzystane zwycięstwo, tak od samego początku za mną chodziło. Myślę sobie: „Pewnie już teraz tego nie będzie”. No i niestety z bólem

serca obserwowałem, jak to krok po kroku się dzieje. Wydaje mi się, że wtedy na to patrzyłem... Bardzo mnie to bolało, że nie ma tej jedności nawet, wokół choćby takiego lidera, jakim był Wałęsa, niezależnie, co o nim się sądzi, to to był człowiek według mnie genialny. – Na tamte czasy. – Na tamte czasy to był człowiek genialny, który miał nieprawdopodobną Bożą iskrę, co ludzie od razu wyczuwali. Wyczuwali na całym świecie, mniej może w Polsce. Natomiast potem każde jego zdanie zostało zdeptane, zaszczute przez tych nazwijmy to takich pseudointeligentów. Później przez „Gazetę Wyborczą”, z którą wiązałem duże nadzieje. Nawet tam święciłem to razem z biskupem ten lokal „Gazety Wyborczej”. Tak, tak, tak, byłem poproszony z bp. Dąbrowskim, żeśmy, że tak powiem, razem...

Bogdan Krawczyk: Jerzym Dąbrowskim?

Ksiądz Jan Sikorski: Nie, Bronisławem Dąbrowskim. To jeszcze w takim przedszkolu było. – Na Legnickiej. – Tak, tak. Wiem, że tak jeszcze bardzo prymitywnie. Wtedy mnie tam Michnik poprosił, i, że tak powiem, razem... To częściowo ksiądz biskup, częściowo ja tam to kropidło nosiłem, bo to były takie... I to żeśmy się wspólnie wtedy modlili. No i potem, potem to jakoś ta walka taka bardzo, bardzo mi się nie podobała. Nie wchodzę w meritum sprawy, bo wydaje mi się, że później Wałęsa, jak każdy człowiek, gdzieś tam ta pycha mu zagraża i pewne rozeznanie traci, ale myślę, że pomogli mu w tym właśnie bliscy jego współpracownicy, którzy po prostu robili wszystko, żeby go skompromitować i żeby zachwiać tą jego pewnością siebie. Ale to już jest, powiedzmy, moje takie osobiste spojrzenie. – Za bardzo do przodu wybiegamy, ale porozmawiamy sobie jeszcze o tym 1989, bo rzeczywiście Wałęsa potem samemu sobie zaprzeczył. Nie wiem, czy ksiądz pamięta to zdanie z jego podpisem. Co... Które funkcjonowało od 1981. Być może to nawet nie jest jego zdanie, tylko Jonasza Kofty: „Nie dajmy się podzielić”. Więc jednak daliśmy się podzielić. – Daliśmy się podzielić. Tak. – Przedtem były internowania. I znowu wraca to słowo obcego pochodzenia: internat. – No, internowanie. To znowu osobna historia w moim życiu, która jakoś tak, że tak powiem, nie wiedziałem, że przez kilka sekund dokona się taki zwrot w moim życiu. No, kiedy wybuchł stan wojenny. Ja byłem wtedy w seminarium. Rano jest cisza w seminarium, ale nie pamiętam, czy wtedy włączyłem radio, czy nie. Wiedziałem, że coś się dz... Aha tak, chyba tak, chyba włączyłem zobaczyć, która godzina, czy tam już mam iść, czy mam nie iść, no i coś słyszę, że coś jest niedobrego, ale już muszę iść do kleryków. To jest bardzo rano w niedzielę. I wtedy ogłosiłem, że: „Słuchajcie, coś się w Polsce dzieje”. Cisza się zrobiła w kaplicy. „Coś się dzieje w Polsce bardzo niedobrego, nie wiem co. Dowiemy się wszystkiego po tych modlitwach rannych. Ale módlmy się za Polskę, bo jakaś sytuacja idzie niebezpieczna”. No i dopiero potem, prawda, okazało się wszystko, o czym wiemy. Że to stan wojenny. No, byłem tym wszystkim naprawdę przerażony. Bardzo taki zdegrustowany w swoich optymistycznych nadziejach, że ten najgorszy z możliwych scenariuszy nagle się pojawia. Byłem w kurii. Stan wojenny, nie wolno wyjeżdżać. Ja jakieś tam zrobiłem kartki, zmontowałem z pieczętkami, chciałem prostu wyjechać z Warszawy do Wrocławia i sobie święta zaplanowałem, że będę poza Warszawą. I jestem w kurii i nagle mi mówią: „Słuchaj, może będzie szansa pójścia do internowanych. Czy pójdziesz?” No wiem, że wtedy taki błysk: moje święta. Ale mówię: Oczywiście, idę. No i to słowo – idę – bardzo jakoś zaważyło potem na losach mojego życia, chodzi o moje osobiste sprawy. Natomiast dostałem taką przepustkę, o której bp Miziołek powiedział, że albo ją będą honorować, albo nie będą honorować, i z księdzem późniejszym biskupem Bronkiem Dębowskim rano ktoś nas tam zawiózł na Białołękę. Pierwszy raz w życiu, w ogóle nawet nie wiedziałem, że tam jest więzienie w Białołęce. Pojechaliśmy z bijącymi sercami. Po pierwsze, czy nas wpuszczą, po drugie, co tam zastaniemy w ogóle, jaka tam będzie sytuacja. Zupełnie taka nowa dla nas, nieznana. Okazało się,

że jakoś ta przepustka zadziała, drzwi nam otworzyli. Trochę ten mój niepokój został zmniejszony, stonowany faktem, że słyszałem, że przez radio Msza święta jest transmitowana w więzieniu, i kiedy zbliżałem się do gabinetu dyrektora, u niego w gabinecie radio też nadaje Mszę św. No to poczułem się już trochę lepiej. Dyrektor z nami bardzo rozmawiał życzliwie, i powiedział: „Proszę bardzo. Proszę pójść do tych właśnie internowanych”. I tam przez te wszystkie bramy przeszliśmy i zobaczyłem taki tłum zbity tych naszych bliskich ludzi, często właśnie brodatych, nieogolonych, który nas entuzjastycznie przywitał na korytarzu w jednym z tych baraków. Ze zdziwieniem spojrzałem, że już był ołtarz zrobiony ze znakiem nawet delikatnym „S” – Solidarności z biało-czerwonymi barwami, myślę sobie: „No to jakoś nie jest tak dramatycznie”. Spotkałem sporo znajomych, którzy tam byli właśnie internowani. No więc mnóstwo serdeczności. No i mówię: Teraz z ks. Bronkiem jak tutaj my zrobimy to wszystko. Bo niektórzy chcą się spowiadać, ale to są ogromne tłumy. Ja mówię do niego: „Słuchaj, no to jest wojna. To spowiadajmy jak na wojnie”. Rozgrzeszenie ogólne, bo to nie byłoby czasu, ale to, żeby było wyznanie grzechów, to niech wszyscy podchodzą już bez żadnych tam wstępów, niech tylko mówią, za co tam żałują i chcą Pana Boga przeprosić, a my im na końcu udzielimy rozgrzeszenia. No i wtedy pamiętam był taki Krzysio Śliwiński, który był takim teologiem. No i żeśmy jemu powiedzieli: „To słuchaj, to ty prowadź rachunek sumienia”. On wtedy prowadził rachunek sumienia, głośno tam przykazania Boże czytając i wszystko, co tam odpowiednio trzeba, a myśmy obaj stali i ci internowani podchodzili do nas, wyznając grzechy. Myśmy już bez tam żadnej nauki i wskazań odsyłali ich na miejsce, żeby zdążyć w ogóle ogarnąć ten cały tłum. I potem na zakończenie robiliśmy rozgrzeszenia, no, i była Msza św. koncelebrewana taka z kolędami, bo to było Boże Narodzenie, więc jeszcze klimat szczególny. Po tej Mszy św., na szczęście mieliśmy opłatki ze sobą, tam całą torbę, i przeszliśmy po poszczególnych celach. Miałem okazję jakoś bliżej wtedy wszystkich poznać i dzieliliśmy się opłatkiem. Zeszło to do późnych godzin wieczornych, co rzadko się spotyka w więzieniu. I torbę, w której mieliśmy tam swoje te przyrządy, te liturgiczne przybory i te opłatki, a oni wrzucali tam mnóstwo tych różnych swoich listów, wiadomości, żeby zawiadomić, żeby powiedzieć... To nie sposób to wszystko spamiętać, mówię: To gdzieś to zanotujcie, napiszcie itd. No było wtedy bardzo dużo entuzjazmu. Myśmy byli nie pierwsi, ale jednymi z pierwszych ludzi, którzy przyszli z zewnątrz, no i też znakiem jakiejś nadziei. Skoro Kościół jest z nimi, skoro jest ksiądz, tzn., że nie ma sytuacji tak bardzo dramatycznej, tym bardziej, że oni przeżyli ciężkie chwile, bo niektórzy mi opowiadali, że jak ich wieźli gdzieś tam ciężarówkami, to nawet sobie zrobili taką zabawę ci niektórzy zomowcy, że mówili po rosyjsku, żeby ich wystraszyć, że są już poza granicami, różne i w ręku Sowietów, także różnie było. Ale ogólnie duch był bardzo dobry. Już wtedy dostaliśmy mnóstwo gadżetów, które tam były robione: stemple, pieczątki, legitymacje. Pamiętam, że dostałem legitymację honorowego internowanego, internowanego honorowego z numerem 3, a pierwszą dostał Jan Paweł II, drugą dostał ks. prymas Glemp. No a trzecia była tam dla mnie i dla ks. Dębowskiego.

Bogdan Krawczyk: Jak się ks. Bronek w tym wszystkim odnalazł?

Ksiądz Jan Sikorski: Też filozof. – Też filozof. Tak, tak. No on bardzo ładnie tam wtedy przemawiał do nich. Zresztą prosiłem go, żeby on wtedy tam homilię wygłosił, natomiast ja bardziej tymi sprawami takimi organizacyjnymi się zajmowałem. No, byłem że tak powiem zaprawiony w różnych już tam akcjach, wyprawach, wycieczkach, ucieczkach itd., więc jakoś tak... Wiem, że nie byłem tym wszystkim jakoś taki przybity i zaskoczony, tym bardziej, że taka wielka życzliwość tych ludzi, i widzę, że już tu zaczynają tam produkować właśnie te pamiątki. No, kolędę, którą śpiewali: „Bóg się rodzi, a Polacy po więzieniach rozproszeni, bo marzyła im się Polska niepodległa na tej ziemi”. Tam byli

w refrenie, że „tylko szatan mógł zgotować właśnie taką dołę”. Strażnicy prosili nas, żeby właśnie tej kolędy nie śpiewali. To był Maciej Zembaty, ułożył tekst tej kolędy. Dostaliśmy też taki w grypsie właśnie tę kolędę, mam zresztą do dzisiaj, wypisaną tam oryginalnie na jakimś papierze. Potem, kiedy opuszczaliśmy ich, była taka śmieszna historia, bo ja miałem całą torbę tych różnych grypsów i tych różnych tam rzeczy. Myślę sobie: Jak ja to przeniosę? Ale nikt nas nie informował, że nie wolno. Poza tym to nie są uwięzieni, to są internowani. No, więc tak... Byłem taki trochę beztrojski, ale ponieważ torba była duża i wypchana to któryś z tych oficerów, którzy mnie odprowadzali, „To może ja księdzu pomogę”. Więc ja z przyjemnością torbę oddałem, żeby niósł. Jakoś już nadał tej torbie oficjalny taki charakter, że ona jest jakoś legalna. No, oczywiście bez problemów żadnych to wyniosłem. Od razu do kościoła Św. Marcina nas zawieźli. No, tam, już cała masa, sztab cały ludzi był. Tak sobie zapamiętałem, to tam m.in. Jacek Fedorowicz, tam jego żona, Maja Komorowska i inni. Wiele, wiele... – Może warto coś powiedzieć o tym komitecie na Piwnej, bo to siostry franciszkanki zrobiły, że tak powiem. – To był też ewenement, tak. A tylko jeszcze dodam, że potem te grypsy natychmiast znalazły się, tego samego dnia wieczorem jeszcze, jeszcze poroznoszone do poszczególnych domów. A ja z tą legitymacją pojechałem prędko na Dworzec Gdański, bo się dowiedziałem, że tam Luigi Poggi jako delegat Ojca Świętego wtedy był i miał właśnie wracać do Rzymu. Myślę: To może jeszcze zdążę go złapać. I pobiegłem szybko na dworzec. Rzeczywiście w pociągu, w salonce, w tym... nie w salonce tam, w sypialnym wagonie, gdzieś w jednym z przedziałów go tam odnalazłem. Co mogłem, to mu tam przekazałem wiadomości o tym wszystkim. Tam wypytywał, i pociąg już miał wkrótce odjechać, trzeba było, i tę legitymację wręczyłem z takim jeszcze znakiem Solidarności. I pojechał. Więc to dzień był zupełnie nieprawdopodobny. Potem drugiego dnia podobnie. No i tak się już zaczęła ta nasza duszpasterska praca właśnie tam. Co niedziela jeździliśmy od samego rana do tej Białogłki, przewożąc wiadomości z zewnątrz i z powrotem od nich jakoś tam na zewnątrz. Wiem, że tam po każdym powrocie mnóstwo ludzi, prawda, jakoś tam mnie osaczało, pytali, jak to się dzieje, co się dzieje i jak tam ta sytuacja wygląda. No i tam zaczęliśmy normalną taką duszpasterską pracę prowadzić. Pamiętam, żeśmy rozpoczęli taką katechezę na temat Mszy św., a więc zanim żeśmy odprawiali, to przedtem tłumaczyliśmy, co poszczególne części oznaczają. Któryś z tych internowanych mówi: „Piękne żeście mieli te homilie, ale bardzo wam przede wszystkim dziękujemy, żeście nam ten elementarz wytłumaczyli, bo wielu z nas nie miało zielonego pojęcia, co to jest Msza św. i jak się to wszystko dzieje”. – No właśnie, poza teologiem Śliwińskim tam jednak było bractwo z różnych parafii. – Tak. Natomiast potrafili się tam religijnie, że tak powiem, zorganizować, co mi bardzo zaimponowało. Że wspólne tam nabożeństwa wieczorem odprawiali, że były wspólne apele. Tam dzwonili mocno wtedy w kaloryfery. No i prowadził te nabożeństwa, o dziwo, w Moskwie wykształcony Zambrowski Antoni, syn Romana. Tak. Jego tam już księdzem takim lokalnym przewali, i on to wszystko prowadził. Zaczęliśmy przywozić Pismo Święte. Zadawaliśmy tam teksty do przeczytania, żeby potem było to jakoś prowadzone wszystko. Bardzo dużo było takich rzeczywiście życiowych spowiedzi, powrotów do Pana Boga. Nawet chrzest był tam. Któryś z pochodzenia żydowskiego polityków zdecydował się na przyjęcie chrztu. Właśnie Krzysio Śliwiński go do tego chrztu przygotowywał. Miał swojego tam ojca chrzestnego. Rzeczywiście, ten chrzest się odbył, tak jakoś bardzo głęboko, mam nadzieję, przeżyty. Jedni tam z obecnych zorientowali się, że są bez ślubu. Więc mówię: „To dlaczego nie zrobić przygotowania do tego ślubu?” No i udzielaliśmy tam sakramentu małżeństwa i tam w pokoju wychowawcy, pod palmą taką, przy biurku tym więziennym odprawiałem Mszę świętą. No i błogosławiłem ten związek. Nawet świadkiem była żona jednego z internowanych, a ten internowany był jako świadek, była okazja, żeby się mogli spotkać z okazji tego ślubu. Więc takie jeszcze dodatkowe profity. No i rzeczywiście była to bardzo taka potrzebna praca, no i tak jakaś bardzo, bardzo piękna i jak

potem się dowiadywałem, jak mówili potem sami, to dla nich też to miało jakieś ogromne znaczenie. Kiedyś pamiętam, przyszła nowa fala tych internowanych. Tacy byli bardzo smutni, to byli chyba w większości tramwajarze, a więc już tak ludzie może prości, bo ci intelektualiści, to oni się czuli jak ryby w wodzie w tym więzieniu. Bo Michnik tam przesyłał te pisma, to wszystko, to oni tak mieli nawet dobry humor. Natomiast inni, którzy przychodzili, byli załamani troszeczkę, bo to dzieci, rodziny, różne problemy, choroby, wyjazdy itd. Sprawy rodzinne. No i oni wtedy przyszli, pamiętam, tacy trochę smutni. Ja do nich się uśmiechnąłem, mówię: „Witam was serdecznie, tak się cieszę. Każdy proboszcz jest zadowolony, jak mu parafia rośnie. Tylu was przybyło tutaj”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem i niektórzy potem mówili, że dla nich to był też taki pewien punkt zwrotny, że nagle poczuli się troszeczkę, troszeczkę inaczej. – To nie Michnik, tylko właśnie Jacek Kuroń mówił, że nic tak duchowo nie rozwija, jak siedzenie w pierdlu. – Tak. Więc, to było tak. No, zresztą. A propos jeszcze Kuronia, to jeszcze było to, że była ta historia, że ja się dowiedziałem, że jest tzw. oddział IV, w którym siedzą ci tacy najbardziej zaangażowani, na ogół szefowie tych. Do nich nas początkowo nie dopuszczali. Kiedy zaprosiłem księdza prymasa, on bardzo to chętnie podjął natychmiast to zaproszenie, żeby pojechał, mówi: „Oczywiście, bardzo chętnie pojadę”. I to było zaraz na samym początku internowania, miał <szę św. przez radio, u Św. Krzyża, i potem zaraz wsiadł w samochód, przyjechał do Białotęki i tam odprawiał Mszę św. dla internowanych, potem zrobiliśmy taką kolędę, że obszedł bardzo wiele pokoi. W pokoju się każdy przedstawiał, znaczy jeden przedstawiał wszystkich. Ksiądz prymas chwilę rozmawiał i przechodził, pokoje – no cele. I przechodził do celi następnej. W tym czasie była też, akurat tak się zbiegła, że była wizyta Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. I na zakończenie wizyty Księdza Prymasa i tych z Czerwonego Krzyża zrobiono taki jakby okrągły stół, żeby na ten temat porozmawiać, co tam się dzieje. Dowiedziałem się wtedy, że właśnie są ci jeszcze, do których my nie docieramy. No i tak zażądałem wtedy spotkania z nimi, Mszy św. itd. Bo mnie nie chcieli do tej Mszy św. dopuścić, znaczy do tych ludzi nie chcieli dopuścić, twierdząc, że to niemożliwe. – Byli polityczni i jeszcze bardziej polityczni. – Tak. I oni już byli trzymani tam osobno, nie razem, tylko każdy był izolowany. No i następnej niedzieli ja mówię: „Proszę bardzo Mszę św.” Oni mówią: „Dobrze, ale na końcu”. Na końcu to było już późno. Kiedy ja mówię, że jeszcze ten pawilon IV, oni mówią, że już jest za późno, że wszyscy wtedy poszli. Mówię: To wtedy proszę przynajmniej, żebym tam udzielił komunii św. No więc...

Bogdan Krawczyk: Kto tam był?

Ksiądz Jan Sikorski: No, tam był właśnie Kuroń, tam był Rulewski, Jaworski, Tokarczuk. Lawina, taki potem...

Bogdan Krawczyk: Tolek Lawina?

Ksiądz Jan Sikorski: Tolek Lawina. Tak. Potem go tam dali już do wszystkich razem, ale początkowo był tam. Ci szefowie regionów, już w tej chwili wszystkich nie jestem w stanie sobie przypomnieć, ale byli. No i wreszcie ja mówię: To przynajmniej tam komunii św. No to oni pozwolili tam chyba Jaworskiemu czy jeszcze komuś, żeby przyjął komunię św. Ja potem mówię: „Nie, a ja tutaj zostaję i jestem tu, czuję się internowany, i jeżeli nie pozwolicie mi mszy odprawić, to ja stąd nie wyjdę. No, a w domu mam tam – takiego blefu użyłem – instrukcję, co mają zrobić moi przełożeni, jak ja nie wrócę do domu na odpowiednią godzinę”. – Drobnym szantaż. – Drobnym szantaż, tak. Tak, zrobiłem szantaż. No i siedziałem tam. Zimno było jak nieszczęście. Myślę: Boże, ja tu nie wytrzymam długo. No ale twardo

tutaj się trzymam. Zaczęli mnie prosić, że już na pewno w następną niedzielę itd., itd. Dobrze, w porządku, wtedy udzieliłem komunii św. Byłem z takim księdzem Opielą, jezuitą, udzieliłem mu komunii św., oni potem napisali donos, że Opiela zjadał grypsy w więzieniu. Więc to była też wesół historia. – Jaka służba, takie pomysły. – Ja czekałem na nich tam z komunią św., i później już nas rzeczywiście wpuszczali. I nawet poprosiłem o oczywiście... Aha, i tam na Mszy św., o ile tam strażnicy nie wchodzili na Mszę św., stali z zewnątrz, o tyle tutaj była taka zrobiona budka jak telefoniczna, przeszkłona, i tam już siedzieli obserwatorzy i każdy ruch nasz na tej Mszy św. obserwowali. Natomiast poprosiłem, żeby była okazja do spowiedzi, że musi być coś takiego wydzielonego. No więc oni tam wreszcie wydzielili jakiś kąt z parawanem do spowiedzi. No i ja czekałem. Wiem, że wtedy pierwszy przyszedł Kuroń do mnie. Tam to była oczywiście jakaś rozmowa, jakieś tam wiadomości pokazywał, to już widać, że stary kryminalista. Potem zapałki, podpalił to, co mi pokazał. I takie różne historie były. Oczywiście niektórzy się spowiadali tak w pełnym sensie. I już tę Mszę św. żeśmy u nich mogli od tego czasu odprawiać, z nimi się mogliśmy spotykać, aczkolwiek bardzo nas pilnowali i słuchali wyraźnie, o czym się rozmawia. Tak że ta inwigilacja była bardzo surowa. A w samym tym tak zwanym internacie, co mnie zastanawiało, że ci funkcjonariusze byli dla nas bardzo życzliwi, ale sterowani. Więc albo byli programowo życzliwi, uśmiechnięci, bardzo otwarci na wszystkie pomysły, albo zdecydowanie surowi, nastawieni na nie. Tak wtedy się zastanawiałem, jak to jest, że ten sam człowiek potrafi być i taki, i taki, jak mocno ta dyscyplina tam sięgała aż do złamania w ogóle postawy człowieka. No i tak właśnie musieliśmy liczyć się z tym, że nieraz te Msze św. musiały być mnożone, bo oni powiedzieli: Nie, tylko w małych grupach, potem większych, raz pozwalali otworzyć i cele, że wszyscy wychodzili na zewnątrz, kiedy indziej nie, doprowadzali osobno. Kiedyś tam sprawdzali, przeglądali, rewidowali. Zrobili wielki szum ci wtedy internowani, że to jest niegodne, jak oni na Mszę św., a są rewidowani. Dlaczego to się dzieje? No więc było takie wielkie oburzenie wtedy. Wiem, że wtedy tam krzychałem, darłem się na nich. Jak oni usłyszeli, że ja się znowu drę, to oni z celi krzyczeli: „Nie ruszać księdza”, itd. Więc takie różne historie się działy. Z tym, że powoli to było coraz, ten system coraz to łagodniejszy. Potem oni już mieli właściwie taki, powiedziałbym, troszkę styl hotelowy taki. Zresztą zaopatrzenie rynku było fatalne. Oni tam dostawali dosyć dużo tych paczek jedzenia, tak że nawet nieraz dzielili się z tymi pilnującymi funkcjonariuszami, bo mieli lepsze warunki niż oni. – Wikt i opierunek mieli w każdym razie zapewniony. Tak. – Ale ksiądz wsiąknął w tę tematykę skazanych chyba. Znaczący najpierw internowanych, potem skazanych. – Potem skazanych, tak. – Jak to się stało, że doktor teologii pastoralnej... – Nagle staje się... Tak. Kolejny nazwijmy to Boży przypadek, że po całej tej... – Słowo „przypadek” w cudzysłowie. – W cudzysłowie, tak. Jeszcze może tylko warto dodać, że po uwolnieniu ich wszystkich rozpoczęło się takie duszpasterstwo przy kościele seminaryjnym byłych internowanych. I właściwie było to wtedy w Warszawie jedyne miejsce, gdzie, oprócz Mszy św. ks. Popiełuszki, była taka godzina wolnej Polski, to myśmy mieli też w kościele seminaryjnym tuż obok Jaruzelskiego, bo przez ścianę przecież te ogrody seminaryjne i Rady Ministrów czy prezydenckie łączą się ze sobą. Tuż pod bokiem jego Msza św. byłych internowanych została zorganizowana – Konkurencja dla ks. Jurka jednym słowem. – I ks. Jerzy przychodził do nas. Zresztą widziałem, jak był z ogromnym entuzjazmem witany na tej Mszy św. Wtedy dopiero zobaczyłem, jak bardzo on jest popularny, jak bardzo kochany jest. Tak namacalnie tego dotknąłem. Pamiętam, kiedyś go tam ogłosili właśnie kapłanem Solidarności. No to przecież tam burza była tych oklasków wtedy na tej Mszy św. – Co to była za osobowość, bo tak chciał, nie chciał, zaczęliśmy od Księdza Prymasa, potem kard. Wojtyły, mamy następnego kapłana. – Kapłana niezwyklego rzeczywiście. Znaczący bardzo zwyczajnego, bardzo zwyczajnego. Bardzo takiego prostego. Natomiast z tego mojego punktu widzenia – to, co ja obserwowałem, to on był bardzo bliski tym ludziom, tym internowanym, i tam

właśnie najczęściej jego nazwisko słyszałem właśnie w tym internacie, kiedy ci internowani mówili: „Niech ksiądz pozdrowi. A jak się czuje ks. Popiełuszko?” Ja z konieczności musiałem się z nim jakoś kontaktować i przekazywać pewne wzajemne, pewne wiadomości. Widziałem jak ta jego osoba jest żywa. Ja do tej pory przedtem nie byłem nigdy na Mszy św. tam za Ojczyznę, organizowanej przez ks. Jerzego. Słyszałem, że te Msze św. są, ale jakoś nigdy nie miałem okazji być. I dopiero potem właśnie ks. Jerzy przyszedł do mnie na Mszę św., która z konieczności jak gdyby przybrała też pewien rytm Mszy św. tamtych żoliborskich. Pewne intencje, które ludzie przynosili, przedstawianie tych delegacji. Nawet nie bardzo widziałem, czego ci ludzie ode mnie chcą, żeby ogłosić to, ogłosić tamto. Ja mówię: No po co? A to była jakaś jak gdyby kalka, taka nieświadoma kalka tej Mszy św. za Ojczyznę. Geneza tej Mszy św. dla internowanych była taka niespodziewana, bo na zakończenie internatu spotkaliśmy się na Pivnej, tam, gdzie była właśnie siedziba Komitetu, o czym będzie warto wspomnieć, Komitetu Prymasowskiego. I tam na zakończenie tego naszego duszpasterstwa spotkaliśmy się na Mszy św. Ks. Bronek mówi do mnie: „Słuchaj, co się dzieje?” Rzeczywiście przyszły tłumy na tę Mszę św. do Św. Marcina. No i odbyła się Msza św., kończy się, rozchodzimy się wszyscy i któryś z nich podchodzi do mnie, mówi: „No i co, proszę księdza? To już koniec naszych tutaj kontaktów?” I ja wtedy mówię: „No nie, no niemożliwe, żeby to się skończyło”. Mówię: „To zapraszam was tak na gorąco do siebie do kościoła, do naszego kościoła seminaryjnego”. Oni mówią: „Kiedy?” To było tak w drzwiach, jak wszyscy wychodzili, trzeba było szybko decydować, ja nie miałem kalendarza pod ręką. Mówię: „To w najbliższą niedzielę po 13-ym”. I to było takie proroctwo, które potem spełniło się o tyle, że rzeczywiście te Msze św. odbywały się w każdą niedzielę już po 13-ym. I w najbliższą niedzielę po 13-ym ja myślałem, że tam przyjdzie kilkanaście, kilkadziesiąt osób na tę Mszę św., się nie nastawiałem. Przyszedł kolosalny tłum ludzi. Ogromny. Kościół nabitý ludźmi. Nastrój, klimat taki bardzo patriotyczny. No więc trzeba było nadać jakiś charakter tej Mszy św. Więc tak kilku tam bliżej mi znanych ześmy stanęli razem i mówię: „Słuchajcie, musimy się zastanowić, co robić, jak tę następną mszę przygotować, jakieś modlitwy, czytania, wszystko”. I stworzyliśmy takie grono, które tak nazwaliśmy sobie trochę żartobliwie „radą parafialną”, bo to żadna parafia. A potem to słowo „rada parafialna” przylgnęło do całej grupy, która przygotowywała właśnie nie tylko te modlitwy, ale potem i takie komunikaty dotyczące życia solidarnościowego właściwie w Polsce. Te komunikaty potem były nagłaśniane przez tam Wolną Europę i środki tam przekazu zachodnie. Jakies tam nieraz przychodziły telewizje zachodnie i podobnie jak Msza św. na Żoliborzu to środowisko miało swoją taką przestrzeń wolności. No ta Msza św. była ogromną taką solą w oku naszych władz. Ja stałem się w tym momencie bardzo już taki podejrzany. Pisane były donosy na mnie. Biskup mi tam przekazywał te wiadomości, które tam przychodzą, żeby to jakoś zlikwidować. Mieli pretensje nawet nie o to, co mówiłem na Mszy św., tylko o to, że... Bo starałem się mówić bardzo delikatnie, tam nie zadrażniać pewnych rzeczy, natomiast to, że środowisko się tworzy takie. Potem przyjeżdżali inni księża z okolic, ksiądz Jancarz kiedyś tam się pokazał z Nowej Huty, z Mistrzejowic. Z kolei ja tam też z rewizytą pojechałem do niego razem z tymi swoimi. Na jednej z tych Mszy św. zrobiliśmy pielgrzymkę do grobu ks. Jerzego. Ale to była pielgrzymka jednorazowa. A z kolei taki też zrobiliśmy zomowcom, taką no niechcący złośliwość, że oni spodziewali się, że to będzie już coś stałego. I to była zima, zimno bardzo. I ktoś mówi: „Słuchajcie, pójdziemy do ks. Jerzego”. Mówię: „Dobrze”. Decyzję podjąłem natychmiast, żebyśmy poszli. W ogóle mi do głowy nie przyszło, że pójdziemy w następną niedzielę. ZOMO na Placu Teatralnym. Ciężarowy, złe jak nieszczęście. Ale najgorsze, że się nie mogli rozgrzać, bo nic nie było. Ludzie się rozeszli i poszli do domu, a oni już tam trasy obstawili, sądząc, że my właśnie zrobimy tę pielgrzymkę. Więc takie tam później miałem echa z Placu Teatralnego, że właśnie byli bardzo źli. No, na pewno nie było to w smak Jaruzelskiemu, któremu tam po sąsiedzku

śpiewali „Boże coś Polskę”, i kiedy się modlili. No i cała ta, właśnie to duszpasterstwo jakoś tak trwało aż do momentu, kiedy ksiądz prymas tu mianował mnie proboszczem właśnie parafii Św. Józefa, ponieważ zmarł tutaj proboszcz, a ja już kiedyś prosiłem, żeby seminarium tę swoją rolę, o którą walczyłem z ks. prymasem Wyszyńskim, żeby ona nie trwała zbyt długo. Przypomniało się Księdzu Prymasowi, że... No już teraz następnemu prymasowi, że taka była umowa moja, no, i że to już ten czas minął, no i tutaj zmarł mój poprzednik. No i mianował mnie tutaj proboszczem. No przyjęte to troszeczkę było tak ogólnie przez ówczesną opinię społeczną jako takie zwękslowanie mnie tam właśnie z centrum Warszawy. – Ale to rzeczywiście ksiądz się czuł tutaj jak na zsyłce?

Bogdan Krawczyk: Kiedy to było? W którym roku?

Ksiądz Jan Sikorski: To był rok... Sześćdziesiąty... Przepraszam. – W latach 80. już jesteśmy. – Co ja gadam. 1985, przepraszam, już wiem dokładnie, przepraszam. 1985 na 1986. 1985 na 1986, tak. Nie, nie, to było... Ja byłem bardzo, ponieważ i całe moje wykształcenie, i doktorat, wszystko zmierzało ku parafii, to ja chciałem być tym proboszczem. No, a akurat była taka okazja. No więc Ksiądz Prymas tutaj zaproponował, ja bardzo chętnie się zgodziłem. To był zupełnie zbieg taki okoliczności. Myślę, że może było to też trochę wygodne dla władz kościelnych, żebym tam za bardzo się nie ujawniał, a bardzo zgodne z kolei z moim pragnieniem, prawda? Tak że nie była to jakaś taka zsyłka, chociaż niektórzy tak to odbierali. I Msza św. dla tych byłych internowanych została przeniesiona tutaj. – A do młodych ksiądz wtedy już proboszczów nie należał. – Nie, nie, to... Ja byłem w ogóle ostatni na swoim roku, ostatnim księdzem, który w ogóle został proboszczem, bo już wszyscy moi koledzy od wielu lat byli proboszczami, a ja jakoś zawsze taką miałem inną funkcję. No tam studia, potem czas w seminarium, więc to... –

Bogdan Krawczyk: Koledzy to jakoś komentowali?

Ksiądz Jan Sikorski: Nie, po prostu tak to się ułożyło jakoś dziwnie, że ja niby ten pastoralista, spec od parafii, ale to zawsze jako tak trochę żart ujmowałem: „Jestem jedyny wśród was, który nie jest proboszczem”. No ale rola w seminarium oczywiście wykluczała to – albo proboszcz, albo ojciec duchowny w seminarium. –

Bogdan Krawczyk: No i jak tam u tego Ojca Józefa w takim razie się ksiądz odnalazł?

Ksiądz Jan Sikorski: Dobry patron. – Patron rzeczywiście świetny i muszę powiedzieć, że mi niektórzy księża odradzali, bo poprzednik, który tu był w parafii, bardzo ciężko chorował na białaczkę. To były ciężkie chwile dla niego i dla parafii. Rozpoczęta budowa domu parafialnego, a więc jakieś finansowe zobowiązania ogromne. Nawet któryś z księży pamiętam, jak mówił: „Słuchaj, no gdzie, taka parafia to jest, wiesz, tam finansowo są długi ogromne itd., bo to budowa”. A ja się w ogóle... Materiałów brak, połowa lat 80. – Tak, to w ogóle było... – Wszystko na kartki. – Ale byłem tu optymistą i proszę sobie wyobrazić, że jeszcze tego samego dnia wieczorem ktoś przyszedł do mnie i dał mi sporą ofiarę na... Tego samego dnia, kiedy przyszedłem tutaj, kiedy przyszedłem tutaj właśnie, i wtedy no, jakąś tam małą część długów od razu mogłem pokryć, ale to było dla mnie ważne, że to jest znak, że tam święty patron czuwa. No i z zapalem tutaj oddałem się tej pracy duszpasterskiej, trochę też i budowlanej tutaj, bo trzeba było ten dom kończyć. Ja się na budowie w ogóle nie znałem, ale z konieczności musiałem się jakoś troszkę rozeznać, zoba-

czyć, jak to wszystko wygląda. I tak się zaczęła historia już mojego dwudziestolecia potem tutaj proboszczowania na Kole. Natomiast po drodze pociągnięty został przez biskupów tutaj wątek więzienny. Ksiądz bp Miziołek, który był odpowiedzialny za duszpasterstwo, był zaproszony do Wiednia na Kongres dotyczący duszpasterstwa więziennego i nie mógł pojechać. Wtedy poprosił mnie, że mu się tam skojarzyło, że więzienia, że Sikorski gdzieś tam był, to niech idzie i tam jedzie, dowie się, o co tam chodzi. Pojechałem i zorientowałem się, czym jest to duszpasterstwo więzienne, w które ja wszedłem bez absolutnie żadnego przygotowania.

Bogdan Krawczyk: No i czym jest?

Ksiądz Jan Sikorski: Dotknąłem tej sprawy w takiej skali światowej, bo byli tam reprezentanci poszczególnych krajów, tak zwani naczelnicy kapelani więziennictwa. Ja się musiałem też przedstawić jako taki naczelnik kapelan więziennictwa. Sam się mianowałem, bo było to duszpasterstwo w Polsce więzienne jakoś prowadzone, ale bardzo ograniczone. Wiadomo, że komuniści nie bardzo dopuszczali, gdzieś symbolicznie dopuszczali księży, a Solidarność wywalczyła prawo wejścia księdza do więzienia. Więc mógł Mszę św. w niedzielę odprawiać. To to wiedziałem, bo to już istniało w chwili, kiedy chodziłem do internowanych. Natomiast w ogóle nie wiedziałem, że to nie tylko jest odprawienie Mszy św. niedzielnej, ale cała w ogóle praca duszpasterska z tym związana. Że ci kapelani, że mają swoje prawa, że w tym więzieniu, no wręcz nawet klucze mają, prawda, i tam swoje, które potrafią otwierać, to niektórzy mi to pokazywali, że jest tzw. bractwo więzienne ogólnoswiatowe, że są wolontariusze, którzy chodzą do więzienia, coś co kiedyś robił nasz patronat. I wiem, że jak wracałem już tego Wiednia, to mi to wszystko w głowie bulgotało, że trzeba tu coś w Polsce zrobić. I pamiętam, ponieważ tam rozpoznałem troszeczkę i kapelanów i tych świeckich ludzi, pomyślałem, że trzeba zrobić taki zjazd ogólnoswiatowy tutaj w Warszawie, żeby to nagłośnić w prasie, przez media i tak dalej, że w ogóle coś takiego jak duszpasterstwo więzienne istnieje, że nie jest to tylko odprawienie niedzielnej Mszy św. dla skazanych. I wtedy porwałem się na coś niezwykłego, że sam... że już nie powiem z własnej kieszeni, zorganizowałem międzynarodowy zjazd. Korzystając z tego, że miałem dobre układy z seminarium, to zrobiłem to w seminarium. –

Ale wtedy to znaczy kiedy?

Ksiądz Jan Sikorski: Bo już chyba przekroczyliśmy lata 80. – To już... Tak, to już jest rok 1987. I po prostu tu, korzystając z pomocy parafian, do maszyny do pisania. Jeszcze komputerów nie było. I zaproszenia na cały świat. Musiałem wynająć tam kabiny do tłumaczenia itd. To było jakieś straszne finansowe te... Ryzyko ogromne, czy przyjadą, czy nie przyjadą, czy przywiozą te dewizy, czy nie przywiozą. Pomyślałem sobie od razu, że jednocześnie trzeba pomyśleć o krajach Europy Wschodniej. I zaprosiłem kogo się tylko dało z krajów Europy Wschodniej. Nawet jeden z biskupów mi odpowiedział, że u nas takiego duszpasterstwa nie ma i nawet się nie przewiduje. Był to biskup na Węgrzech. Myślałem sobie: „No to ja tutaj już organizuję, a oni nawet twierdzą, że tego duszpasterstwa się nie przewiduje”. Myślałem: „Panowie, to coś z waszym horyzontem chyba jest nie tak”. Tym niemniej utwierdziło mnie to jeszcze, że właśnie trzeba to robić. I zjazd się udał. Zaprosiłem Księdza Prymasa oczywiście, również i władze więzienne, a więc i minister przyszedł na to, no i... – Bafia?

Bogdan Krawczyk: Kto przyszedł z władz?

Ksiądz Jan Sikorski: Przyszedł... Przepraszam. Przyszedł dyrektor, pamiętam, że się Wrona nazywał. Dyrektor więziennictwa. Tak. Akurat dobre nazwisko, tak. W każdym razie... No chyba wtedy przyszedł tylko wiceminister, ale musiałbym w aktach poszukać. Już w tej chwili nie pamiętam.